POLAK
W BRAZYLJI
Pismo tygodniowe -- dla wszystkich--

26 Listopada 1909 r. REDAKTOR I WYDAWCA *KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI.* Rok V Nr 48

POLAK W BRAZYLJI

kosztuje:

Rocznie	8 milr.
Półrocznie	4 milr.
W Królestwie Polskim i Rosji	7 rubli
W Niemczech	14 marek
W Austrji	16 koron
W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej	3 dolary.

Numer pojedyńczy kosztuje 200 rs. Drobne ogłoszenia po 200 rs. za wiersz lub ego miejsce.

Adres dla listów i przesyłek pieniężnych:

„POLAK W BRAZYLJI“

Caixa postal Nr. 122

CURITYBA — PARANA — BRAZIL.

UWAGA. — Przesyłki pieniężne i wszelką korespondencję do Redakcji należy adresować, jak podano wyżej, — BEZ DODAWANIA JAKIEGOKOLWIEK NAZWISKA, gdyż adresowanie imienne sprowadzić może niepożądane opóźnienia w odbiorze listów. —

PRENUMERATĘ „POLAKA W BRAZYLJI“ przyjmują na warunkach redakcyjnych p. p.

Bolesław Kłossowski — Ponta Grossa.
Antoni Jakubowski — Agua Branca.
Józef Dytz — Ijuhy.
Paweł Tymoteusz Wielewski — Lucena.
Paweł Miecznikowski — Rio Claro.
Józef Brudziński — Rio dos Patos.
Jan Zwierzykowski — Sw. Barbara.
Wincenty Hamerski — Guarany.
Władysław Szulczewski — S. Feliciano.
Antoni Kurkiewicz — Rio Negro.
Edward Stelczyk — Porto Alegre.
Michał Sekuła — Araucaria.
Bronisław Wachowski — Argentyna.
August Jan Kwieciński — Candido de Abreu

Redakcja mieści się
przy placu TIRADENTES Nr. 31
TELEFON N. 167

Redakcja otwarta codziennie od 8 rano do zmroku z wyjątkiem niedzieli.

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY

„POLAKA W BRAZYLJI“

NA ROK 1910

Wszyscy prenumeratorzy „Polaka w Brazylji“, którzy opłacą przed 1 Lutym 1910 roku całoroczną prenumeratę, otrzymają jako

Bezpłatne premjum

książkę p. t. „PAŃSTWO INTERESU“ (w oprawie) napisaną przez znanego bogacza i filantropa amerykańskiego Carnegiego. Książka ta zawiera mnóstwo cennych uwag i przykładów, w jaki sposób dojść można do majątku i poważania u ludzi, daje mnóstwo cennych rad, jak się urządzić i zachowywać w życiu.

Wszyscy prenumeratorzy „Polaka w Brazylji“, którzy opłacą całoroczną prenumeratę przed 1 Lutym 1910 roku prócz powyższego bezpłatnego premjum, będą uczestniczyć w

Loterji

„POLAKA W BRAZYLJI“

Do rozegrania posiadamy dziesięć następujących przedmiotów:

1) Praktyczną i użyteczną w naszych gospodarstwach maszynę do tępienia mrówek z zapasem trującego proszku dla wytępienia conajmniej 20 mrowisk, choćby największych.

2) Doskonałą maszynę do szycia najnowszego systemu Singera.

3) Maszynę do łuszczenia kukurydzy z wialnią

4) Kolorowy portret Kościuszki dużego formatu, 5) Portret Mickiewicza, 6) Portret Słowackiego, 7) Obraz: Bitwa pod Racławicami (Kościuszko prowadzi do ataku) 8) Obraz: Bitwa pod Racławicami (Bartosz Głowacki zdobywa baterję rosyjską), 9) Obraz: Zdobycie Wolmaru 10) Kolorowy herb Polski na kartonie.

Loterja powyższa rozegraną będzie w lokalu redakcji „Polaka“ przy udziale wszystkich życzących sobie być obecnymi przy tym prenumeratorów „Polaka“ dnia 1 Lutego 1910 roku.

Uczestniczyć w loterji mogą tylko ci prenumeratorzy, którzy zapłacą osobiście, lub przyszlą prenumeratę, lub złożą ją u naszych ajentów zawczasu, tak, żeby wiadomość o tym nadejść mogła przed 1 Lutym. Wszyscy prenumeratorzy opłacający prenumeratę później, lub których prenumerata nadejdzie po 1 Lutym do Kurytyby, nie mają prawa uczestniczyć w loterji.

Każdy prenumerator, który już opłacił prenumeratę za rok 1910 lub opłaci ją przed 1 Lutego 1910 r., otrzyma numer porządkowy przy swoim nazwisku w dziale „Od administracji“, numery te będą służyły dla rozegrania loterji, Przy ciągnieniu loterji numery wygrywają w porządku, w jakim są wydrukowane przedmioty powyżej.

Prenumeratorzy „Polaka w Brazylji“, opłacając z góry całoroczną prenumeratę, otrzymują więc nietyko ciekawą książkę „Państwo interesu“, ale i możność wygrania jednego z wymienionych wyżej przedmiotów, które zostaną natychmiast wysłane na koszt redakcji wygrywającym, nazwiska i adres których będą w najbliższym numerze ogłoszone.

OD REDAKCJI.

Od samego początku założenia, pismo nasze trzymało się zdania, że jedynym stanem, gdzie osadnictwo nasze może dać odpowiednie rezultaty, jest Parana; nieraz dawaliśmy opisy kolonji, warunków osadnictwa, nieraz pisaliśmy o widokach tutaj na przyszłość.

Opinja nasza co do wartości kolonizacyjnej dla naszego żywiołu innych stanów, w pierwszym rzędzie São Paulo, które stale robiło i robi wysiłki w celu pozyskania dla siebie naszych kolonistów, jest już ustalona, niemniej poznanie warunków kolonizacji tego stanu może się przyczynić w znacznej mierze do wyrobienia samoistnego sądu na tę sprawę u naszych rodaków, dlatego też umieszczamy poniżej nadesłany nam artykuł o kolonizacji São Paulo, który tym jest dla nas cenniejszy, że pochodzi od człowieka mieszkającego w São Paulo, który dłuższy czas pełnił obowiązek urzędnika kolonizacji miejscowej. Bezstronny ton artykułu, który jest tylko odpisem poważniejszej pracy, budzi zaufanie czytelnika, a dotychczasowa działalność autora jest gwarancją prawdziwości przytoczonych danych.

Kolonizacja stanu S. Paulo.

Wznowiona w roku 1905 propaganda kolonji rządowych Stanu São Paulo, wśród rolników zachodniej Europy, dała impuls wielu pismom polskim, zainteresowanym kwestją wychodźtwa do wypowiedzenia różnorodnych opinji na ten temat. Wykluczając małą liczbę ludzi stojących po stronie São Paulo, opinja większości, mając w pamięci niezatarte fakta z roku 1890, zaprzeczała wszelkiej racjonalności kolonjom, nazywając przedsięwziętą akcję—nową pułapką—dla sprowadzenia zawsze brakujących robotników na fazendy kawowe.—Wynikiem tych przypuszczeń był szereg ostrzegawczych artykułów.

Pisano tu i owdzie, że do São Pau-

Maciek w powstaniu.

Opowieść na tle powstania w r. 1863

PRZEZ

SEWERA (GRYFFA).

C. d.

— Abo ty jucho nie będziesz się więcej darł na tym świecie, abo mnie święta ziemia zakryje — szeptał.

Olszowe krzaki, którymi ciągnął, zdawało mu się wpadały w las.

Nimi do samego końca, a potem co Pan Bóg dał!

Poszedł śmiało z determinacją człowieka, wierzącego w przeznaczenie. Płaszczyzna wznosiła się w górę, zaspy malały, śnieg stawał się twardy. Maciek nasunął baranicę na oczy, kosę ściskał w ręku, zęby zacinał, straszne myśli odganiał od siebie i gnał i gnał. Las się zbliżał, serce mu drżało, zimne poty na niego szły, on gnał z uporem i zawziętością.

Krzaki zrzedły, dwa stajania gołego pola i ciemny las. Księżyc ukośnie rzucał promienie srebrnego światła, łamiące się na śniegu.

— Żebym miał białą świtkę, poleciałbym, bura sukmana okrutnie odbija przy miesiączku. Niema rady, trzeba czekać, aż zajdzie i skryje się.

Kosę oparł, ręce roztarł, miał ochotę zapalić fajeczkę lecz się bał.

— Niech się ino uda, wypalę trzy, jedna po drugiej!... Dopieroż to Bartek będzie mi zazdrościł karabina, a niech po niego idzie, jak ja poszedłem. Ludzie będą się dziwować, starszyzna, wszyscy, niech się dziwuje cały świat i niech wie, co Maciek może kiej ino chce!

Umyślnie wydobywał z siebie najweselsze myśli, aby strach zdusić, co mu chodził ciarkami po plecach i włos jeżył pod baranicą.

Księżyc się skrył za świętą ziemię szarawa mgła otuliła śnieg, łagodząc jego białość, zrobiło się ciemno, wiatr się odnalazł, przeciągnął po wierzchołkach drzew i żałośnie jęczał. Maćkowi nadzieja rozgrzała krew, przeżegnał się, porwał kosę, przebiegł pędem odkryte stajania, wpadł do lasu — stanął.

Wiatr kołysał wierzchołkami drzew i z cicha pojękiwał, tyle tylko, aby zagłuszyć chód Maćka. Odczuł tę łaskę i szepnął:

— Abo święty Józef, abo Najświętsza Panienka....

Uniósł w górę baranicę, wymawiając święte Imię Panienki.

Spojrzał w las, słuchał, usiłując z poza jęków w górze dosłyszeć szmery na dole.

— Nie ma co! tu nic nie wystoję.

Poszedł w głąb. Czuł, że mu kosa zawadza, wbił ją do widoku w śnieg.

— Gdy dojdę do Moskala tak blizko, że go będę mógł kosą dziobnąć, to i rękami to samo potrafię.

Spotkał wydeptaną ścieżkę, zmiarkował, że prowadzi do miasta, a pewno na niej stoi ten Moskal, co się drze.

Poszedł nią kilkadziesiąt kroków a potem skręcił.

— Jak ci mnie ujrzy to strzeli... i choć nie trafi, wszystko przepadnie. Jeżeli podejść to tylko od strony miasta.

Obchodził wielkim kołem ścieżkę, skradając się od drzewa do drzewa. Bronzowa jego sukmana przylegała do koloru kory sosen i gubiła się. Oddech zapierał, czaił się jak lis, a słuchał z wystawioną naprzód szyją jak wilk.

Zobaczył.

O kilkadziesiąt kroków stał Moskal, oparty o drzewo. Nogi rozstawił, karabin trzymał pod pachą na dół bagnetem. Maciek nie wiedział, czy patrzy, czy śpi. Przyczaił się do sosny i urwaną gałęzią uderzył o pień, Moskal ani drgnął.

Chciał zdjąć buty, lecz czasu nie było. Z pochyloną naprzód głową, delikatnie próbując każdego kroku, jak to zwykle czynią koty, posuwał się bliżej do Moskala.

Stanął o dziesięć kroków na twardej ścieżce, nie mógł oddychać, ręce mu drżały, nogi się pod nim uginały. Jeszcze pięć cichych kroków i... naprzód!...

Moskal się zbudził, nastawił bagnet, Maciek chwycił go ręką i jednocześnie lunąwszy w pysk Moskala, powalił na ziemię, karabin wyrwał. Zamierzył się. Moskal upadł na kolana, ręce złożył szepcząc:

— Pardon, pomiłuj Boh, pardon.

— Ja ci dam pardon—zaśmiał się chłop.— Dawaj ładownicę, zdejmuj buty.

Zimno brat — skarżył się cicho.

— Zdejmuj — powtórzył Maciek.

Moskal w milczeniu ściągnął buty, kryjąc poza kolanem schowany gałganek.

— Rzuć to! — krzyknął Maciek.

— Niczewo — zaśmiał się.

— Rzuć! — zamierzył się karabinem.

Moskal rzucił. Maciek jedną ręką podniósł i rozwinął. Na śnieg wypadły papierowe ruble. Schował je. Z poza moskiewskiego szynela wyjrzał żółty kożuszek.

— Dawaj kożuch! Strzelcy nasi w kożuchach.

Moskal zdjął naprzód szynel, potem kożuszek i rzucił. Maciek przypasał ładownicę, spiął rzemyki od butów i przewiesił je przez szyję; wyjął ruble z kieszeni, piątkę włożył w zanadrze a dwa położył na śniegu.

— Na wódkę za karabin — rzekł drwinkując. Masz tu kozik i sznurek, żebyś se z szynela buty wykroił, sznurkiem obwiązał. A teraz jucho jak się będziesz darł i starszyźnie powiesz, że jeden chłop, jedyny, gołymi rękami odebrał ci karabin, buty i kożuch, to cię pałkami zabiją!

— Toczno tak — poświadczył wystraszony.

— Hałasuj, wrzeszcz i powiedz, że cię otoczyło pięćdziesięciu strzelców, ale wtedy, gdy ja będę w Szydłówku.

— Tak każetsia...

— Bądź zdrów!

— Praszczaj brat!

Maciek pomknął ścieżką. Co chwila się oglądał, a leciał jak opętany. Teraz dopiero strach latał mu po skórze i popędzał go. W jednej ręce trzymał karabin, w drugiej kożuszek, poły sukmany założył za rzemienny pas i gnał bez upamiętania.

D. c. n.

lo jechać nie należy, bo chociaż stan ten posiada kilka „wzorowych“ kolonji, to jednakże klimat gorący nie jest odpowiedni dla naszych osadników a przytym kolonje te są niedostępne i wychodźca zmuszony jest iść na plantacje kawowe, gdzie staje się białym niewolnikiem.

W podobnych sądach nie trudno dopatrzeć się braku gruntownej znajomości warunków lokalnych tego stanu.

Dla zapoznania się z klimatem São Paulo, dostatecznie jest zauważyć, że jest on wogóle podzielony na dwa pasy: nadmorski o minimalnej szerokości wzdłuż gór Serra do Mar i Mantiqueira—do brzegów Atlantyku, gdzie temperatura sięga dość wysoko, a klimat jest wogóle mało odpowiednim dla Europejczyków, oraz na płaskowyże gdzie znajduje się też stolica, która posiada klimat nadzwyczaj umiarkowany o średniej temperaturze 18°2. W tej części różnica między najchłodniejszym miesiącem a najcieplejszym nie przewyższa nigdy 10 stopni. O ile więc pierwsza część stanu w zupełności nie może być terenem kolonizacyjnym i jako taka żadnej roli nie odgrywa, o tyle druga część pod względem klimatu jest odpowiednią i zdrową, rzecz prosta nie biorąc w rachubę nizin w pobliżu rzek, które w krajach podzwrotnikowych prawie zawsze powodują febry.

Pominąwszy zresztą błędy, jakich się dopuściły pewne pisma, zastanówmy się nad poważnym obwinieniem, że kolonje rządowe Stanu São Paulo są pułapką dla ściągnięcia z Europy robotników na plantacje kawowe.

Aby uniknąć długich komentarzy, a dowieść błędności tego twierdzenia, dostatecznym będzie podać dane statystyczne napływu immigracji podczas lat ostatnich, wziąwszy pod uwagę, że na plantacje kawowe kontraktowani są w Europie wyłącznie Włosi, Hiszpanie i Portugalczycy.

I oto widzimy, że przybyło w roku

	1904	1905	1906	1907	1908	Razem za 5 lat
Hiszpanów	6.372	22.128	20.349	4.709	8.375	61.933
Portugalczyków	5.168	5.878	4.773	6.900	11.773	34.492
Włochów	9.478	13.596	13.556	16394,	19.340	72.364
Brazyljan z innych stanów i różnych	2.521	6.012	4.344	4.316	10.561	27.754
Austryjaków		57	911	287	334	1.735
Niemców	224	17	11.08	516	787	2.468
Rosjan			550	347	791	1.705

(Polacy z trzech zaborów są zaliczani do Austryjaków, Niemców i Rosjan).

Wzrastający z roku na rok napływ elementu z Południowej Europy, wykazuje nieproporcjonalną przewagę nad immigrantami ze Wschodu, a co zatem idzie, formalną niemożebność konkurencji tych ostatnich. Pozatym Austryjacy, Niemcy i Rosjanie — przybywają do São Paulo, albo na koszt własny i wtedy przeważnie osiadają w miastach, albo na zasadzie dekretu 1.458, w tym wypadku będąc specjalnie przeznaczonymi na kolonje.

Wzrost ten także stopniowo zmniejsza potrzebę robotnika na kawę, specjalnie zaś rosyjskiego lub polskiego, którego ściąga do Brazylji nie zarobek, lecz pożądanie własnego kawałka ziemi.—Drugim motywem, nie mniej skutecznie przeczącym obwinieniu może służyć system kolonizacji, oraz koszt sprowadzenia kolonisty na osady rządowe.

I oto rzecz charakterystyczna. O ile głosy prasy polskiej unosiły się nad fakłem propagandy osad rolniczych w São Paulo, opierając się jedynie na przypuszczeniach wyżej podanych, o tyle system kolonizacji mało kto krytykował. Najmniej interesowano się tym, że same kolonje, jak i taktyka rządu nie dają żadnej gwarancji naszej immigracji—i są jedynymi czynnikami, w myśl których powinniśmy ostrzegać lud polski przed napływem do São Paulo.

Pragnąc kolonizować swoje ziemie w celu rozwoju rolnictwa, rząd stanowy zastosował jedyny w swoim rodzaju system, zdaje się dotąd nigdzie nie praktykowany.

Krótko mówiąc, wyasygnowano bajeczne sumy na utworzenie dwóch małych kolonjek i rozpoczęto wielką propagandę w Europie. Aby jednak zwrócić sobie pomienione koszta — rząd nazuaczył także niepraktykowaną cenę na działki.

Łatwo więc zrozumieć, że już ta jedna przyczyna niemogła dodatnio wpłynąć na rozwój kolonizacji rolnej.

Urząd kolonizacyjny zdaje się nie brał zupełnie pod uwagę przyczyn jakie skłaniają lud rolny do wychodźtwa, a tym samym, dzięki podobnej taktyce, kolonje tutejsze nigdy nie będą mogły rozwinąć się i prosperować z tym skutkiem jak np. w Paranie.

Przypuśćmy nawet, że osady rządowe są położone w znakomitych punktach, w pobliżu rynków zbytu, o doskonałej ziemi i t. d. — to czyż jednak śmiesznym się nie wyda olbrzymia propaganda i kosztowne zabiegi sprowadzania immigrantów na dwie kolonijki ogółem liczące w roku 1905—około 160 lotów.

Jest to śmiesznym, ale byłoby i smutnym, gdyby tak lud rolny jak przed laty — na odgłos agentów ruszył masami do tej ziemi obiecanej. Dzięki Bogu wszelkie zabiegi sprowadzenia polaków spełzły na niczym; dotąd zaledwie 11 rodzin polskich osiadło na tych kolonjach i to przeważnie z dawno zamieszkałych w São Paulo.

Niebywale wysoka cena lotów czyni te kolonje niedostępnymi dla biednego chłopka polskiego, który oprócz rąk zdolnych do pracy i dużej rodziny, nie wnosi nic do Brazylji; służą one dla zamożnych gospodarzy łotyskich i estońskich, o jakich się rząd miejscowy również ubiega.

Aby Sz. Czytelnicy mogli wydać sąd właściwy o istniejących w São Paulo kolonjach i o warunkach na jakich te są udzielane, spróbuję tu podać krótki opis, przedstawiwszy uprzednio tabliczkę istniejących kolonji wraz z ilością lotów:

Kolonje.	Ilość lotów.	Zajętych.	Wolnych.	Odległość od S. Paulo.
Nowa Odessa	97	86	—	184
Jorge Tibiriça	150	82	74	250
Nowa Europa	)	79	)	456
Nowa Paulicea	) 420	9	) 300	444
Gavião Peixoto	)	7	)	438

(Pominąłem tu kol. Pariquera-Assu i Campos Salles, jako kolonje dawne i nie odgrywające roli w obecnej kolonizacji).

Otóż aby sprowadzić rolników na te kolonje, które miały dźwignąć przyszłość rolniczą stanu São Paulo — przedewszystkim utworzono w Londynie— sowicie opłaconą agencję, która przy pośrednictwie prasy oraz swoich funkcjonarjuszy miała dopełnić to dzieło.

D. c. n.

Z prasy.

Niezmiernie rzadko zdarza się nam notować jakiekolwiek wiadomości o naszych rodakach na szpaltach pism tutejszych. Nie mówi się o nas,—jedni robią to przez nieuzasadnioną bojaźń, inni przez również nieuzasadnione lekceważenie. Bądźmy sprawiedliwi tylko—komu jak nie Polakom, Parana zawdzięcza swój rozwój ekonomiczny, myśmy tu bez przesady wprowadzili i rozwinęli rolnictwo, na naszych wyłącznie opiera się ono barkach; większa część handlu i przemysłu na naszym zapotrzebowaniu się opiera; śmiało możemy powiedzieć, że jako żywioł produkujący, stoimy tu na pierwszym miejscu, budżet państwowy na naszej zdolności płatniczej się opiera.—A jakąż mamy zapłatę, czy bodaj posiadamy uznanie, czy przy ustanawianiu praw, przy nakładaniu podatków wchodzą w grę nasze interesa, czy bodaj pamiętają o istnieniu tych interesów? Potrzebniśmy na rosach i przy robotach, w lasach i na drogach, wreszcie jako potulny i bierny element przy urnach wyborczych; słyszymy o śmiesznej jakiejś wdzięczności i obowiązkach; gdy po prawa dla siebie sięgamy, spotyka nas oburzenie, a w najlepszym razie zdziwienie. Rzeczy to znane. znajdywały one zresztą nieraz sprawiedliwą ocenę na łamach „Polaka“. W imię tej sprawiedliwości zanotować winniśmy fakt tak rzadkich w naszych stosunkach słów uznania, które mogliśmy czytać we wtorkowym numerze „Republiki“.

W artykule zatytułowanym „Araukaria“ nieznany nam korespondent po szeregu uwag ogólnikowych co do rozwoju tego municypjum przechodzi do kwestji rolnictwa; następują słowa, które tu dosłownie przytaczamy:

„Rolnictwo rozwija się u nas z dnia na dzień. „Kto jak my zna te bogate municypjum, zaludnione przeważnie przez rodziny polskie, nie może nie wierzyć w przyszłość świetlaną, którą ma zapewnioną, jeśli bowiem rolnictwo jest bogactwem ludów, polacy są bogactwem rolnictwa.

Nie możemy absolutnie zrozumieć, jak może rząd federalny, który zamierza rozwinąć rolnictwo w Brazylji, kaptować w Europie rozmaitego gatunku ludzi, którzy tu przychodzą wyłącznie w poszukiwaniu złota by następnie korzystać z owoców swej pracy we własnej ojczyźnie i którzy nie posiadają najmniejszego wyobrażenia o tem co to jest rolnictwo, kiedy fakta wskazują nam niewątpliwie, że dla urzeczywistnienia tego chwalebnego zadania niczego więcej nie było potrzeba, jak faworyzować o ile możności immigrację ludzi pracowitych, nawykłych do ciężkiej pracy na roli, jakimi bez zaprzeczenia są koloniści polscy.

Spójrzcie na te municypjum, które jeszcze przed 20 laty było drobną osadą bez znaczenia, bez wszelkiej nadziei na przyszłość, zaludnione prawie wyłącznie przez naszych kabokli, którzy wyłącznie produkują na swoje potrzeby i to nawet nie wszyscy, kiedy teraz municypjum Araucaria całe zaludnione polakami, przedstawia jedno pole uprawne i bez zaprzeczenia najbogatsze z całego Stanu.

Dla tych niezmordowanych pracowników postępu, nie ma ziemi słabej, jakakolwiek rodzi obficie i nigdy nie jest zmęczona, tak dalece, że potrafią oni na dwóch, trzech alkrach gruntu uprawić wszystko dla swoich potrzeb, a i na sprzedarz jeszcze, utuczyć parę wieprzy na handel, mieć dobre krowy i wyrabiać masło, hodować kury i sprzedawać jaja i zawsze posiadać znakomicie utrzymane doskonałe konie.

Polak zazwyczaj kocha kraj, gdzie zakłada gniazdo rodzinne, starając się w miarę jak mu się szczęści kupować ziemię i ulepszać swoje gospodarstwa, przyzwyczajając dzieci od wczesnych lat brać się do pługa i motyki, przyczym przystosowują się doskonale do naszych zwyczajów, szanując przytym prawa i władze naszej Ojczyzny“.

KOLONJA CANDIDO DE ABREU.

10 b. m. odwiedził kolonję Candido de Abreu dr. M. Correia, inspektor wydziału zaludnienia kraju, przyjmowany przez dyrektora kolonji p. Edmunda Saporskiego, jego pomocników i komisarza miejscowego p. Pawła Miecznikowskiego.

Na wstępie dr. Correia został powitany przemową miejscowej nauczycielki p. Skawińskiej; w odpowiedzi gość dziękował za przyjęcie, wyrażając uznanie kolonji, że na samym początku pomyślała o utrzymaniu szkoły, przyczym podkreślił ogromne zasługi, jakie położył p. E. Saporski przy zakładaniu i dalszym kierownictwie kolonią.

W biurze administracji dokąd udano się następnie przemawiał w imieniu zarządu kolonji i obecnych p. José Luz, wskazując na zasługi dla kolonizacji dr. M. Correi, jak również na duże postępy, które robi kolonja dzięki niezmordowanej pracy i serdecznej a energicznej opiece jej dyrektora p. Saporskiego.

Po śniadaniu udano się na oględziny pola doświadczalnego, które zostało założone zaledwo 4 miesiące temu, na brzegu rzeczki Cerne na przestrzeni 16 hektarów. Znaczna część pola jest już uprawiona, wyniki niektórych doświadczeń, pomimo tak krótkiego czasu są zadawalniające. Oglądano tu posiewy kukurydzy drobnoziarnistej, pszenicy, żyta, owsa, jęczmienia, gryki, lnu, ryżu i bawełny. Prócz zboża znajdują się tu szkółki wina i drzew owocowych.

Zwiedzono następnie rozmaite linje kolonji. Przy linji Palmas zwiedzono gospodarstwa pp. Antoniego Sikorskiego i Carlosa Gatini, które według zdania zwiedzających, wyróżniają się ładem i pięknymi plonami. Przykre wrażenie sprawiał jedynie widok niektórych plantacji zniszczonych przez myszy, które tego roku pojawiły się w wyjątkowej ilości. W obecnej chwili koloniści zajęci są sadzeniem kukurydzy i fiżonu, niektórzy mają już wyrobionych po 5—6 kwart ziemi, co jak na nowych osadników jest już rezultatem znacznym.

Kolonja Candido de Abreu założona została 20 Stycznia 1909 roku w odległości 6 kilometrów od stacji Paulo Frontim na wysokości 775 metrów od powierzchni morza. Kolonja posiada przestrzeni 18.000 hektarów, czyli może pomieścić prawie 800 rodzin, z tego zostało pomierzone 455 lotów przy czym wykończono 3 linje główne i 6 drugorzędnych [vicinal]. Kolonistów osiadło tu dotychczas 402 rodziny. W miasteczku (sede) prócz domów administracji i służby pomocniczej wybudowano już 6 domów prywatnych, z których kilka zajęte są przez sklepy. Kilka nowych domów jest w danej chwili w budowie. Droga, która łączy miasteczko ze stacją kolejową jest wykończona starannie, wszystkie mosty są imbujowe, zbudowane mocno i dokładnie.

Z całej Polski.

ODSŁONIĘCIE POMNIKA SŁOWACKIEGO W POZNANIU. Społeczeństwo polskie w Poznańskiem, zbiorowymi siłami złożyło się na wystawienie pomnika Juljuszowi Słowackiemu w Poznaniu. Stanął w gmachu teatru Polskiego. Uroczystość odbyła się dn. 25 października w obecności zaproszonych posłów, redaktorów pism, oraz przedstawicieli towarzystw męskich i żeńskich.

W imieniu komitetu jubileuszowego, jako jego prezes, przemawiał poseł mecenas Chrzanowski w słowach gorących: „Przymuszeni—mówił—prawie do szeptania naszą mową, radujemy się krasą i potęgą jego słów, zajęci walką o byt społeczny, pracujemy przy jasnym blasku Jego poezji“. Zakończył słowami z Anhellego: „Oto zmartwychwstają narody“.

Pomnik został wykonany wedle rysunku artysty rzeźbiarza Wł. Marcinkowskiego. Słup z czerwonego marmuru włoskiego wieńczy odlew w bronzie biustu Słowackiego w Miłosławiu. U spodu zamieszczono marmurową płytę, w którą wpuszczono śliczną płaskorzeźbę pomysłu Marcinkowskiego: „rozmowę z piramidami“ chłopięcia polskiego z napisem:

„Cierp i pracuj i bądź dzielny,
bo twój naród nieśmiertelny·
My umarłych tylko znamy,
a dla żywych trumn nie mamy“.

Na słupie zdala widoczny spokojny i skromny napis:

Juljuszowi Słowackiemu
1809—1909.

KRADZIEŻ NA JASNEJ GÓRZE. Okradzenie cudownego obrazu w Częstochowie, które poruszyło kraj cały, nie przestaje zapełniać szpalt wszystkich dzienników w Polsce. Notowane są najdrobniejsze szczegóły kradzieży i przebiegu toczącego się śledztwa. — Co do wartości skradzionych przedmiotów, nic pewnego ustanowić nie można, z początku podawano straty na 6 miljonów, następnie na 2 i niżej.

Szczegółowy wykaz zrabowanych wotów zawiera:

15 złotych zegarków damskich, z których 10 ze złotymi łańcuszkami znacznej długości na szyję.

Dwa zegarki złote, średnich rozmiarów z dewizkami złotemi (męzkie).

Cztery grubsze złote łańcuszki od zegarków męskich (na szyję).

Cztery sznury pereł prawdziwych gatunku grubszego, każdy sznur długości przeszło łokcia, nawleczone na srebrne nici.

Cztery sznury pereł prawdziwych drobniejszego gatunku, również nawleczone na srebrne nici.

Wotów szczerozłotych w formie serca z ogniem, większzch, około 20 sztuk.

Wotów szczerozłotych, w formie serca, mniejszych, około 30 sztuk.

Obrączek ślubnych złotych, zwyczajnych, około 50 sztuk, a nawet może więcej.

Pierścieni grubszych, większych i mniejszych złotych z brylantami i innymi drogimi kamieniami około 40 sztuk.

Broszek damskich złotych przeszło 20 sztuk, z których około 8 ozdobionych brylantami, a reszta drogimi kamieniami.

Bransolet złotych około 15 sztuk, z których

połowa ozdobiona była brylantami i innymi drogimi kamieniami.

Cztery krzyże złote, małe, emaljowane („virtuti militari“).

Krzyżyków złotych, większych i mniejszych na szyję około 50 sztuk, przeważnie dla dzieci przy chrzcie ofiarowanych, z których około 20 ze złotymi łańcuszkami.

Distinktorjum kanonickie z łańcuchem, pozłacane—z djecezji Płockiej [emalja z dwóch stron.]

Także samo distinktorjum złote, z łańcuchem pozłacanym.

Noga złota po kolano „masyw“ przecudnie odrobiona,

Medalików złotych małych dziecinnych do 30 sztuk.

Prócz powyżej opisanych różnych przedmiotów, drobnych złotych przeszło 100 sztuk.

Kolczyków złotych par mniej więcej 50, z których do 20 par ozdobionych brylantami i innymi drogimi kamieniami.

Z pomiędzy wszystkich głosów oburzenia i żalu, rozbrzmiewających w całej Polsce z powodu kradzieży, żaden się nie odezwał z uwagą, jak znaczne skarby znajdują się w klasztorze jasnogórskim. Nikt nie zadał pytania, czy skarby te, całemu narodowi polskiemu korzyść jakąkolwiek przynoszą, czy mamy rzeczywisty powód żałować ich straty. Czy w chwilach krytycznych dla narodu, gdy głód lub wojna kraj nawiedzi, gdy nędza rozpanoszy się powszechna, czy wtedy skarbiec jasnogórski stanie otworem dla całego narodu, czy zapobiegnie nędzy, czy dopomoże w walce z odwiecznymi wrogami? Odpowiedź na te pytania znajdziemy w historji z lat niezbyt dawnych.

Gdy podczas stuletniej walki o niepodległość, cały naród nasz czynił bohaterskie wysiłki, aby zdobyć dla siebie choć iskrę wolności, gdy krew hojnie się lała, gdy nawet grosz wdowi szedł ojczyźnie w ofierze, gdy dla oświaty potrzebne były pieniądze, wtedy skarbiec jasnogórski był zamknięty, chociaż użyty w odpowiedniej chwili, mógł losy całego narodu skierować na lepsze tory.

Dalecy jesteśmy od tego, żeby przypuszczać że obowiązkiem kleru było skarby Jasnogórskie użyć na potrzeby Narodu, było by to trudnym do wykonania i niesprawiedliwym poniekąd, naszym zdaniem błąd leży w samym gromadzeniu skarbów czy to na Jasnej górze, czy w innych kościołach, skarbów, które przez nieporozumienie uważamy za narodowe, ale którymi jako Naród rozporządzać nie możemy, skarbów więc bezużytecznych jak owe biblijne talenty zakopane w ziemi.

ZATARG KONSTYTUCYJNY W ANGLJI.

Istnieje w Anglji instytucja, zwana tam izbą lordów. Składa się ona z lordów tj. przedstawicieli najstarszych szlacheckich rodów angielskich i z pewnej liczby członków, powoływanych przez króla z pośród ludzi najbardziej zasłużonych dla kraju. Podobnie, jak u nas senat jest ona drugim ciałem prawodawczym, które łącznie z izbą gmin [tj. posłami z wyboru ludności] uchwala ustawy i podatki. Izba lordów reprezentuje interesa możnowładców kraju i stanowi niejako przeciwwagę do izby posłów, na wypadek gdyby w izbie przeszły projekty, zagrażające interesom tych wielkich posiadaczy ziemi i bankierów.

Na czele rządów w Anglji stoi obecnie gabinet wolnomyślny, w którym zasiadają także przedstawiciele tak zwanej partji pracy tj. stronnictwa, którego celem jest obrona interesów warstw pracujących. Rząd ten wniósł niedawno szereg projektów nowych podatków, aby pokryć nimi znaczny niedobór, jaki powstał wskutek wielkiego podwyższenia wydatków. Rząd mianowicie chce wprowadzić podatek od dochodów z kopalń, podatek od wartości gruntów budowlanych i od wzrostu ceny przy sprzedaży ziemi. Otoż podatki te obciążą prawie wyłącznie wielkich posiadaczy ziem, właścicieli kopalń i kapitalistów.

A trzeba wiedzieć, że w Anglji niema zupełnie chłopów — posiadaczy. Wszystkie grunta są własnością kilkunastu rodzin szlacheckich, które wydzierżawiają je za czynszem. Tak np. cały Londyn, w którym mieszka tyle ludzi, ile w całej Galicji, należy do kilku tylko takich szlacheckich rodzin. Gruntu kupić w Anglji nie można, można go tylko wydzierżawić na pewien szereg lat. Wskutek rozwoju przemysłowego, grunta podniosły się ogromnie w górę, czynsze dzierżawne niepomiernie wzrosły, a podatki, opłacane przez te szlacheckie rodziny, których własnością jest ziemia, pozostały jednakowo niskie. Słusznie przeto rząd twierdzi, że skoro wydatki państwa ogromnie wzrosły, a niższe klasy narodu są już przeciążone daninami na rzecz państwa, przeto trzeba pociągnąć do większych ofiar tych, którzy ciągną ogromne zyski z ludności, bez żadnej pracy i starań ze swojej strony.

Wprowadzenie tych podatków wywoła nadto jeszcze inne skutki, bardzo doniosłe i pożyteczne dla społeczeństwa, jak wystawianie na sprzedaż ziemi, którą dotychczas sztucznie zatrzymywano w jednych rękach, położy koniec skupianiu się ludności na małych przestrzeniach a co najważniejsze możność nabywania ziemi.

Projekta podatkowe rządu wywołały straszne oburzenie wśród lordów, którzy pragnęli cały ciężar nowych danin przerzucić na lud pracujący. Jeden z ich przewódców nazwał projekt rządowy bezczelnym zamachem na święte prawa własności i konstytucyjne swobody i oświadczył, że izba lordów nie dopuści nigdy do uchwalenia takiego budżetu.

Rząd wystąpił bardzo ostro przeciw lordom i zapowiada, że w razie odrzucenia budżetu odwoła się do ludu i rozpisze nowe wybory do izby gmin. Jeżeli ta nowa izba uchwali projekta rządu, to izba lordów będzie musiała ustąpić żądaniu ludu i uchwalić nowe podatki, proponowane przez rząd, w przeciwnym bowiem razie mogłaby wywołać tak wielkie oburzenie, że naród mógłby zażądać zniesienia izby lordów, która zamiast strzedz dobra narodu, dba tylko o swój własny interes.

Niedawno temu angielski kanclerz skarbu wygłosił wielką mowę, w której oświadczył że prawo uchwalania budżetu należy do izby gmin. Co ojcowie nasi—mówił—zdobyli przez wieki mordu, walki i rozlewu krwi, tego my się tak łatwo nie pozbędziemy! Konstytucja ma być zdeptaną — niech lordowie pomną co czynią. Mogą wywołać rewolucję, ale rewolucją pokieruje naród. Lud postawi sobie wtedy pytanie, na kim spoczywa odpowiedzialność za ustrój, w którym jeden człowiek musi całe życie ciężko pracować i nędznie żyć a drugi rozkoszować się zbytkami, na które nie zarobił własną pracą. Skąd przyszły takie prawa? Odpowiedź na to pytanie nie wyjdzie na dobre temu porządkowi rzeczy, który przedstawiają lordowie. A wówczas odezwie się pytanie, jakem prawem pół tysiąca zwykłych ludzi (członków izby lordów jest 664) może się sprzeciwiać woli miljonów, które pracują i tworzą bogactwo kraju.

Jak głęboko zakorzenionem być musi w duszy każdego Anglika poczucie swobody, poczucie swych praw i obowiązków, kiedy jeden z pierwszych ministrów angielskich w ten sposób przemawia w obronie praw parlamentu. Ale też konstytucja angielska wyrosła naprawdę z potrzeb i krwi narodu jednolitego i silnego poczuciem siły każdej jednostki z osobna.

Korespondencja.

Rio Claro dnia II—XI—909

Do Sz. Redakcji „Polaka w Brazylji“.

Donoszę nie wesołe wieści z naszej kolonji; w roku przeszłym 1908 żyto nie dopisało, kukurydzę zniszczyły ptaki, a po części szarańcza, ale potrochu było wszystkiego, przeżyło się jakoś, chociaż drogo trzeba było płacić za nie jedno, mianowicie: milji kwarta 1$, fiżonu kwarta 2$500, żyta kwarta 1$, słonina 18$ aroba. W tym roku żyto zapowiadało się świetnie, kartofle też, fiżony rosły prześlicznie, gorączkowo też zabrano się do przygotowania pod sadzenie kukurydzy. Aż najniespodziewaniej spadła na nas nowa klęska, gorsza pewnie od szarańczy mianowicie myszy,—myszy te niszczą wszystko co tylko w polu rośnie, żyto, fiżon, kartofle, bataty, mandioki nawet groch i nie dają sadzić kukurydzy, co tylko kto posadzi natychmiast wszystko wybiorą z ziemi; są tacy, którzy sadzili po cztery razy, a rozmaite prezerwatywy nie pomagają nic.

Mimowoli nasuwa się pytanie, co to będzie? Nie którzy koloniści mający małe rodziny, zostawiają wszystko, i z rodzinami udają się do koleji do roboty. Ale co zrobią ci, którzy nie mogą tego uczynić, gdyż rodzina ich liczna i drobna.

Na domiar wszystkiego dnia 10 Listopada mieliśmy mróz, który również narobił szkody.

Aż się serce kraje patrząc na rozpacz ludzi którzy widzą całą swoją pracę zniszczoną, i którym w przyszłości ciężka troska zagraża.

Z tej biedy korzystają różni oszuści, którzy za zapłatą podejmują się żyto od myszy zamawiać, a jest nawet jakiś kaboklo, który sprzedaje karteczki, które posadzone razem z pierwszym ziarnem milji, mają chronić od zjedzenia przez myszy.

Naturalnie że nic to nie pomaga, ale łatwowierni tracą grosz, który pewno będzie więcej potrzebny jak kiedy indziej. — Dziwnem tylko jest to, że ani księża z ambony ani nauczyciele, ani ludzie inteligentniejsi nic nie robią aby przeciwdziałać oszustwu, i łatwowierności naszego ludu. — Ale jakżeż temu się dziwić, przecież szkoła na drugiej linji stoi pustką, jak również i na trzeciej linji, i nie słychać jakoś aby się o nauczycieli starano.

Jedynie na korzyść naszej kolonji, możemy zapisać że pomimo klęsk jakie nawiedzają kolonję, od lat trzech, sprawiliśmy do kościoła, nowe harmonjum za około 900$ ogrodziliśmy kościół kosztownym ogrodzeniem, sprawiliśmy 3 nowe drogie ornaty, pokrywamy dach na kościele, zbieramy na jakąś kosztowną figurę i wiele innych rzeczy także b. drogich utrzymujemy dwóch księży, specjalistę organistę, i kościelnego.

Pomimo jednakże tak wielkiej ofiarności na chwałę Bożą. jakoś nie możemy trafić do miłosierdzia Bożego i w tym roku, chociaż wydamy tysiące na potrzeby kościelne, — myszy nam wszystko zjedzą i czeka nas głód.

Kolonista.

KRONIKA.

RIO DE JANEIRO. Pomiędzy rządem brazylijskim a rzeczypospolitej uruguajskiej został zawarty nowy traktat, podług którego Brazylja dobrowolnie przyznała Uruguajowi prawo żeglugi na rzece granicznej Jaguarão, z której dotychczas korzystała.

W niektórych miejscowościach Brazylji wiadomość o warunkach traktatu z Uruguajem przyjęto niechętnie, a nawet wystąpiono z protestami.

Dnia 23 b. m. odbył się mityng w Rio de Janeiro protestujący przeciw wspomnianemu traktatowi.

Zostało ukończone śledztwo prowadzone dotychczas z powodu morderstwa studentów przez żołnierzy policyjnych, a o które obwiniono generała Souza Aguiar.

Rezultaty śledztwa, dotychczas są trzymane w tajemnicy.

BOMBA W SÃO PAULO. Dnia 23 b. m. o godzinie 6 wieczorem, trzech nieznanych osobistości, rzuciło bombę dynamitową do magazynu pod firmą „Casa Alemã.“ Bomba eksplodowała ze strasznym hukiem i wyrządziła w magazynie olbrzymie szkody. Spowodowany wybuchem pożar, uszkodził także sąsiednie budynki, między innymi redakcję dziennika „Comercio de São Paulo“ W powyższym wypadku przewidywana jest działalność tajnej organizacji pod nazwą „Czarna ręka“, gdyż uprzednio dyrekcja firmy „Casa Alemã“ otrzymała anonimowe żądanie 50 tys. milrejsów pod groźbą rzucenia bomby. Policja rozpoczęła energiczne śledztwo. Aresztowano kilka podejrzanych osób.

ZE STATYSTYKI. Według obliczeń, niedawno utworzony stan Acre, pod względem produkcji kauczuku zajmuje pierwsze miejsce w Brazylji, gdyż produkuje rocznie na sumę 68.272.578$., gdy stan Amazonas produkuje na sumę 66.238.390$., a stan Para na sumę 47.416.912$900, a jak wiadomo stan Acre w stosunku do wymienionych stanów zajmuje niewielką przestrzeń ziemi.

Oprócz wyżej wymienionych stanów inne produkują kauczuku nieznaczne ilości.

Ogólny eksport czyli wywóz za granicę różnych produktów z Brazylji, przedstawia się w przeciągu roku następująco:

Stan	Acre	68.272.578$
,,	Amazonas	66.238.390$
,,	Para	47.416.902$
,,	Maranhão	6.545.794$
,,	Piauhy	2.615.506$
,,	Ceara	6.111.931$
,,	Rio Gr. do Norte	2.341.188$
,,	Parahyba	4.789.464$
,,	Pernambuco	31.674.972$
,,	Alagoas	8.507.974$
,,	Bahia	38.377.312$
,,	Sergipe	6.762.430$
,,	Espirito Santo	11.165.514$
,,	Rio de Janeiro	
,,	São Paulo	201.324.425$
,,	Parana	16.000.000$
,,	S-ta. Catharina	7.242.212$
,,	Rio Grande do Sul	51.918.165$
,,	Goyaz	216.000$
,,	Matto Grosso	7.555.940$

ZATONIĘCIE PAROWCA. Dnia 14 b. m. na rzece Purus w Stanie Amazonas, podczas burzy zatonął brazylijski statek „Kurt“. Część pasażerów utonęła, lub stała się pastwą aligatorów, od których roją się rzeki w tych okolicach. Jeden z rozbitków padł ofiarą olbrzymiego węża zwanego „anakondą“. Przybyły na pomoc parowiec „Hilda“ zdołał uratować zaledwie 8 osób.

WYRODNA MATKA. Dnia 22 b. m. w São Paulo niejaki Simplicio Bueno de Aguiar mieszkający przy ulicy da Constituição, znalazł w podwórzu jednego z sąsiednich domów dwa trupy noworodków płci męskiej, do połowy zjedzonych przez koty. Powiadomiona policja rozpoczęła śledztwo w celu wykrycia wyrodnej matki, lecz dotychczas starania jej pozostały bez żadnych rezultatów.

TRAMWAJE w Kurytybie wkrótce przejdą na własność syndykatu francuskich kapitalistów pod firmą „Ethiene Müller & Cia..

Przedstawiciel powyższej firmy przybył do Kurytyby dla zakończenia pertraktacji kupna i zrobienia kontraktu.

Wymieniona firma posiada koncesję robót portowych w Bahji

PIORUN ZABIŁ KOBIETĘ. Dnia 20 b. m. o godzinie 4 po południu podczas burzy z deszczem ulewnym piorun zabił na Ipirandze kobietę siedzącą w domu z dziećmi, przy czym dom został nieuszkodzony, dzieci tylko ogłuszone hukiem. Mąż nieszczęśliwej kobiety znajdował się przy pracy w polu, a gdy uciekając przed burzą przyszedł do domu, zastał już zimny trup żony.

SUSZA. W północnej części stanu Pernambuco panuje od dłuższego czasu bez przerwy susza. Straty ponoszone przez mieszkańców są olbrzymie, rolnicy znajdują się wprost w nędzy. Z braku wody wyginęło bydło i muły. Roślinność znikła prawie zupełnie. Okolice nawiedzone przez suszę mają wygląd pustyni.

HODOWLA BYDŁA. Ministerjum rolnictwa ogłosiło dekret na mocy którego, dla poparcia hodowli rasowego bydła i koni w kraju, udzielane są hodowcom bezpłatne przewozy reproduktorów na następujących warunkach: trzeba zawiadomić ministerjum o kupieniu reproduktora. Wymienić gatunek, rasę i miejsce nabycia. Następnie opisać posiadaną hodowlę bydła lub koni, miejsce, gatunek, ilość i stan rozwoju.

Wskazać na 15 dni przed załadowaniem reproduktora na statek nazwę kompanji i okrętu, jak również przypuszczalny termin jego przybycia.

Szczegół ostatni jest niezbędny dlatego, iż rząd podaje reproduktorów badaniom specjalnej komisji weterynarzy. Wskazać nazwisko i adres w Rio do Janeiro jednostki lub firmy, zajmujących się pośrednictwem przy transportach.

W podaniu do ministerjum trzeba wyszczególnić wiek i pochodzenie reproduktora, odznaki charakterystyczne, nazwę rodziców i t. d.

Potrzebne są następujące dokumenty:

a) Podanie we wskazanej powyżej formie.

b) Dowód stwierdzający płacenie podatków stanowych lub municypalnych, jako rolnika lub hodowcy.

c) rachunki w duplikatach, wyszczególniające wszelkie wydatki.

d) Oddzielne rachunki w duplikatach, odpowiednio poświadczone; wszystkie rachunki powinny być wystawione na imię interesowanego.

e) Konosament okrętowy.

f) Poświadczenie komory celnej o przybyciu reproduktora.

g) Pochodzenie (pedigree) reproduktora.

h] Fotografja w duplikacie, każdego zwierzęcia.

i) Poświadczenie, że bydło nie jest tuberkulicznym.

j) Świadectwo zdrowia zwierzęcia, wydane w kraju, z którego pochodzi.

k) Dokumenta z kolei żelaznej i kompanji okrętowych, które przewoziły zwierzęta aż do miejsca przeznaczenia.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

WACŁAW GĄSIOROWSKI

ROK 1809

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ

17

Poniatowski galopował przed powozem, aż do ostatniej kompanji pułku. Tu osadził konia, dobył pałasza i salutował Dąbrowskiego.

Generał był wzruszony do głębi.

— Panie Józefie — mówił do Wybickiego — Jakie w nim serce, jaka dusza prawa... Mówiono o nim „zamorski paniczyk, zfrancuziałe książątko!“ Fałsz!.. Proch z prochu, kość z kości! Nasza krew, nasza tęgość, nasza zatracona!!

— Mówiłem! W nim mogły rycerskie zapały hiberny odprawiać, drzemać zgoła, lecz nigdy szczeznąć! Patrz! Dość mu było odzewu, aby ze zgorzkniałego ministra stać się znów tem, czem był!... Ile ognia w jego odezwaniu, ile zapału!!..

— Niech z nim pozostanie, niech go poprowadzi!...

— Dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy!... huczał w dali chór wracających do koszar żołnierzy.

V

Warszawa śniła. Śniła o przyszłości, śniła cicha zadufana, wierząca sztandarowi, powiewającemu nad pałacem, zajmowanym przez francuskiego gubernatora. Śniła jak człowiek, który po długich z losem zapasach, doczekał się nareszcie jego pierwszego uśmiechu i spoczywa w przeświadczeniu, że jak nie dawno grom po gromie uderzał weń, burzył, druzgotał, tak teraz dnie idą coraz jaśniejsze, coraz pełniejsze słońca, coraz dłuższe.

Warszawa śniła. Śniła, wspominając dawne swoje tryumfy, potęgę moc, świetność, wiążąc to, co było z tem co będzie, dumnie poglądając wieżycami swojemi ku niebu.

Warszawa śniła jak ten, co po latach cierpienia, jak ten, któremu sen jest nowem pokrzepieniem, który spoczywa dla tego, by żarliwiej jąć się pracy pracy po celu wytkniętym, prostym, bliskim.

Chrapliwy głos bębnów na odwachu budził Warszawę, lecz nie stropił. Do dźwięku tego nawykła, z dźwiękiem tym się oswoiła, zżyła.

Bębny warczały spazmatycznie, ponuro. Warszawa powoli w dzienną stroiła się szatę.

Co jej bębny!?.. Dawniej były nieubłaganem przypomnieniem niemocy, surową groźbą panoszących się Prusaków, odzewem potężnej „Kamery“ — dziś znakiem, że Warszawa jest znów tem, czem była, że, losu jej strzegą, nad nim czuwają! Co jej bębny!? Niech huczą! Niech wskroś przejmują, niech dygocą! Biją w nie ci, którzy prawa swe wzięli z wieków.

Lecz bębny pracowały zajadle, na chwilę nie ustawały, jakby nie zadowolone już tem, że koszary od świtu rozbrzmiewały szczękiem broni, jakby im mało było widzieć, przeciągające w gorączkowym marszu oddziały, jakby im nie starczyły spienione konie pędzących z rozkazami ordynansów, jakby głosem swym sięgnąć chciały dalej, głębiej..

Warszawa rozglądała się dookoła zdziwiona wrzeniem, które łono jej szarpać zaczęło...

Aż naraz około białej plakaty rozległ się cichy, ledwie dostrzegalny wyraz „wojna“... Rozległ się i wstrząsnął murami miasta i rozgorzał w obliczach, rumieńcami trysnął na twarzach starców i młodzieńców, mężów i pacholąt, mrozem ściął matczyne serca, trwożnem przeczuciem napełnił dziewczęce wejrzenia — a potem szedł tam, kędy jedna myśl króluje, kędy jedno hasło, jedna droga obowiązku, jedno zawołanie, starczące i na Grunwald i na Kircholm i na Somo-Sierrę!

I w takt bębnów serca jednem uderzyły tętnem, jeden skurcz zacisnął pięści, jedna krew w żyłach zagrała!...

Wojna! Nikomu ona nie była straszną w Warszawie. Jeżeli nadto niespodzianie się jawiła, to zawsze przychodziła oczekiwana dawno — bo wojna na tej ziemi zaklęła w sobie wszystkie rachuby, wszystkie nadzieje. Kiedy w roku 1807 Europa z pełnem ulgi westchnieniem powitała wieść o tylżyckim pokoju — nad Wisłą gorycz ogarnęła nawet najwierniejszych stronników Bonapartego! Pokój tylżycki był bowiem murem, zagradzającym polot tego, czego spodziewano się od Napoleona, był nieubłaganym słupem granicznym marzeń, był zimnym sprawdzianem tych głosów, które wołały — „nie my jego, ale on nas potrzebował!“ Pokój tylżycki był pogrzebem nadziei, był obuchem dla myśli o niezawisłości, o wielkim, dawnym bycie. Pokój tylżycki skądinąd był dobrodziejstwem dla wyniszczonej ziemi, dla opustoszałych śpichlerzy, dla ogłodzonej przemarszami wojsk ziemi — lecz i okrutną rzeczywistością, bolesnym zawodem. Te pacta, poręczające granice, te wynurzenia przyjaźni, te węzły, mające utrwalić potęgę Napoleona, przyjęte były nad Wisłą goryczą.

I oto jak pokój tylżycki zwarzył serca, zgasił otuchę — tak teraz wojna napełniła wiarą i radością.

Warszawa nie ważyła sił następującego nieprzyjaciela, nie postrzegła nawet, że tak pysznie łopoczący sztandar na pałacu francuskiego gubernatora — znikł nagle, że oddział wojska saskiego zbierał się tak, jakby uchodzić zamierzał. Dla niej wojna była obudzeniem się do życia, wyjściem z błędnego koła gabinetowej polityki francuskiej, ocknieniem, dalszym ciągiem zapasów.

Z wiarą i zapałem rzucono się do czynów. Rada stanu wzywała do powiększenia gwardji narodowej, do stawania w szeregach pospolitego ruszenia, ale wprędce zapomnąć musiała o wezwaniach, a całą energję wytężyć ku temu, by ochotnikom organizację zapewnić, broń dać, do karności zaprawić. Szli wszyscy, zaprzysięgając, ledz na wałach raczej, niż piędzi ziemi ustąpić.

Za Warszawą szły wszystkie ziemie Księstwa. Wyznaczeni komisarze cywilni i dowódcy siły zbrojnej ruszyli już do wyznaczonych sobie departamentów, aby tam organizować nowe oddziały, mnożyć gwardje, tworzyć pułki. Rozesłani kurjerzy zmobilizowali rozstawione w różnych stronach kraju pułki, budzili czujność załóg Sieradza, Częstochowy, Modlina i Torunia. Generał Różniewski ruszył z kawalerją na rekonesans w stronę Nowego Miasta, major Hornowski zaś, docierał do Grzybowa za Pragą.

Równocześnie roztropność nakazała Radzie Stanu wysłać gońca do pana Calincourt'a, posła francuskiego w Petersburgu. Wskutek tego wystąpienia, pan Calincourt zażądał posiłków od cesarza Aleksandra I. Wojska rosyjskie ruszyły niebawem ku granicy austryjackiej.

Zabielski po odjeździe generała Dąbrowskiego, zatrzymany przez generałową, pozostał był w pałacu do rana, obiecując sobie nazajutrz innego poszukać schronienia. I gdy pierwsze promienie kwietniowego słońca zajrzały do wyznaczonej mu na spoczynienie komnatki, wybiegał na miasto, upatrując dla się pomieszczenia. Jakoż po krótkich poszukiwaniach znalazł był pokoik na Piekarskiej ulicy u pani Bęczkowskiej, żony oficera gwardji narodowej i tam postanowił się sprowadzić. Przedtym atoli rzeczą przystojną mu się wydało, podziękować pani generałowej za gościnę. Wrócił więc do pałacu i opowiedział się hajdukowi, aby go zameldował, skoro pora stosowna nadejdzie. Około południa pani Dąbrowska kazała go do siebie przywołać i zagadnęła łaskawie:

— Powiadano, że waćpan miałeś mi coś do przedłożenia?

— Tak, pani generałowo dobrodziejko... Dziękczynienia chciałem złożyć... Pora mi!...

— Dokądże acan zamierzasz?!... Do Galicji może myślisz?... Niech cię Bóg broni od tej myśli! Między dwa ognie mógłbyś się dostać!... A wówczas!...

Zabielski oczy spuścił.

— Pani generałowo!.. Nie chciałbym moją osobą zawadą być!... Na komorne iść się deklarowałem.

— Cóż potem myślisz?!

— Nic! Czekać będę!—odparł niepewnie pan Tadeusz.

Pani Dąbrowska zmierzyła bystrym spojrzeniem Zabielskiego i rzekła, ważąc każdy wyraz.

— Na komorne?!.. A oneż pobudki wojskowe, które dziś po mieście całym rozbrzmiewają, one wezwania, które, słyszę, publikują... nic do acana nie przemówiły?!...

Pan Tadeusz zarumienił się. Generałowa westchnęła lekko i dodała po namyśle:

— Tak... tak... może acan masz słuszność... wojna, a przytym i gra niełada, o sobie myśleć potrzeba, a nie na niepewne iść! Takich znajdzie się wielu!.. A mój mąż łudził się, że za pierwszym odezwem pójdą wszyscy!... Nie, nie wszyscy!..

Panu Tadeuszowi krew w żyłach zagrała, słowa pani Dąbrowskiej wstrząsnęły nim, poruszyły naraz wszystkie zakamarki serca. Wyprostował się, podniósł głowę i odparł z mocą.

— I pójdą, pani generałowo!

Pani Dąbrowska sądziła, że Zabielski nie pojął intencji, bo smutnie zapatrzyła się w dal i rzekła cicho:

— Nie wiesz acan... nie!... Pójdą, ale nie tam, gdzie powinni!... Sam rzekłeś...

— Bo... bo... nijako było!... Ale ja dziś myślę jeszcze, nie wiem... do gwardji czyli do pułku!.. Kędy trzeba!.. I nie ja jeden, lecz tysiące uczynią...

— Deklarowałeś się przecież na komorne!?..

— Wymówiło się!... Zamysł był inny!.. Zdało mi się przystojniejszym nie objawiać go nazbyt hałaśliwie, bo ani wiem czy zdam się na co!... Lata przesiedziałem nad papierami!...

Generałowa wyciągnęła rękę do pana Tadeusza.

— Gdzie ochota, gdzie wiara w sprawę, tam i zdolności się znajdą! Radość mi sprawiłeś swoim odezwaniem!... Aby tak myśleli wszyscy, a troska o losy wojny nigy w nas nie postanie!...

Zabielski ucałował rękę pani Dąbrowskiej i kłaniając się, do drzwi zmierzał—lecz ta go zatrzymała skinieniem.

— Pozwól acan! Nie dam ci, abyś miał się błąkać i werbunku szukać!... Niechże ja poszczycę się, że jednego żołnierzyka przysporzyłam! Mąż polecił cię pułkownikowi Godebskiemu, tedy do niego przeprowadzi cię mój hajduk!... A skoro pułk sobie wybierzesz, ja o twoim wyekwipowaniu pomyślę!...

— Pani generałowo dobrodziejko... gdzież bym śmiał!... Toć własnego grosza trochę się kołacze!...

— Zachowaj go! A tej uciechy mi nie odmawiaj, abyś nie żałował!... Gorączka lada godzina wybuchnie a wówczas i pieniądz twój nic znaczyć nie będzie!... Kto nie ma ręki życzliwej, ten się ani munduru nie doczeka, ani kaszkietu nie znajdzie!... O ładownicę, o karabin będzie trudno!

Pan Tadeusz chciał dziękować, lecz pani generałowa nie pozwoliła.

— Najmilszą nagrodę będzie mi, kiedy się dowiem czegoś o waszmości!... Dystynguj się a nadewszystko zasługuj się ojczyźnie!... Masz młodą żonę!.. Opuściłeś ją, boli cię jej troska, niepokój, lecz pamiętaj, jeżeli myśli poczciwie, to gorzejby ją smuciło, gdybyś przy niej teraz życie pędził w obojętnem zasklepieniu! Mało jest takich niewiast, któreby miały moc powiedzieć mężowi „idź“ — lecz i nie ma tak złych, coby w godzinie walki rzekły — „zostań“!.. Jej droższym będziesz a samemu sobie godniejszym! Ruszaj i niech cię Opatrzność strzeże ode złego!... W potrzebie do mnie adresuj a jako rzekłam, ekwipowanie mnie zostaw!...

Pan Tadeusz raz jeszcze ucałował rękę pani Dąbrowskiej i przeprowadzony przez hajduka, udał się do pułkownika Godebskiego, stojącego kwaterą u generała Sokolnickiego.

Godebski ucieszył się przybyciem pana Tadeusza..

— Dobrześ uczynił, poczciwie!... Dokąd więc chcesz?... Do piechoty, do kawalerji, do gwardji?! Może do artylerji!...

— Nie wiem sam, do jakiej broni byłbym zdatniejszy?!...

— Wszędzie ludzi trzeba! Moja rada do piechoty! W kawalerji i artylerji ładniej by ci było!... A w gwardji narodowej za duszno. Tam imć panowie obywatele sami się rządzą a waćpana mogliby snadnie za intruza mieć! Co tobie zresztą do pospolitaków! Do szeregu, do frontu, do kompanji wyborczej! Jakże myślisz? Możeś sobie pułk upatrzył?!... Hę?!...

— Tak pułkowniku!

— No, mów śmiało!

— Ósmy.

Godebski pokręcił wąsa z ukontentowaniem.

— Chcesz do mego pułku!? A nie lękasz się służby? Zapytaj wprzódy! Powiedzą ci niejedno! Godebski gwałtownik, Godebski impetyk, choleryk—lada guz naderwany o pasję go przyprawia!.. Dręczyciel!... Ej lepiejby może do innego się przypisać, lżej będzie!?

— Nie, panie pułkowniku, pozwól mi w ósmym!...

— Biorę chętnie acana! Mój pułk stoi w Modline! Dziś w nocy nadejdą tu dwa bataljony i te ruszą ze mną, trzeci zostanie na załodze w fortecy!... Chyba każę cię odesłać do Modlina—tam powoli zaprawisz się!... Tu bo może do rozprawy przyjść!...

Pan Tadeusz poruszył się niespokojnie. Godebski spostrzegł zaniepokojenie Zabielskiego.

— Do Modlina pójdziesz! Nie miałbym serca zatrzymywać cię!... Kto wie, jaka potrzeba będzie! Myślę, że i nie jednemu staremu żołnierzowi ciężko będzie!...

— Kiedy bo panie pułkowniku... jak do załogi do... nie chcę!... Iść, to iść!...

— Dobrześ powiedział! Zatrzymam cię przy sobie! A próżnować ci nie dam!.. O jednem pamiętaj, do jutra zostawiam ci czas do namysłu!.. Rozważ sam, jak ci się nie wyda tutaj, możesz do Modlina, czy gdzieindziej! Pan generał Dąbrowski cię polecił —a ja tyle od siebie dodam, że słysząc cię wczoraj... cenię w tobie już obywatela!.. Hola! Acan, widzę, chcesz się zbierać?!..

— Pan pułkownik mówił do jutra!

— Tak ci jest! Jutro dasz mi respons, lecz dziś moja rzecz służbę ci obrzydzić! A stary Świerzyński to bodaj najlepiej potrafi!...

Pułkownik klasnął w dłonie. W pokoju zjawił się stary zeschnięty napoły sierżant ósmego pułku.

— Swierzyński!..

— Uważam panie pułkowniku!

— Widzisz tego zucha! Jest to ochotnik imć pan Tadeusz Zabielski!... Serce wielkie, ale co k arabina ani w ząb! Napiera się z naszymi batalionami iść!... Weź go na eksperyment, morduj i albo żołnierza z niego uczyń, albo mu obrzydź jego własne zapały!

— Według rozkazu panie pułkowniku!

— Tylko znów miej odrobinę wyrozumienia, bo to taki zuch, że za nim gotówby się generał Dąbrowski ująć!... Bierz go jak swego!...

— Według rozkazu!...

— A z ordynansu zwalniam się tymczasem! Patrz! Materjał jest — masz z czego żołnierza wykroić!... Ty potrafisz!

Świerzyński wyprężył się, przeszył stalowym wzrokiem pana Tadeusza, rzucił raz jeszcze uroczystym głosem: — „według rozkazu“ — a potem rzekł znowu do nowozaciężnego: — „Chodź za mną!“

Zabielski skłonił się pułkownikowi i w milczeniu poszedł za sierżantem, ciekawie przyglądając się jego marsowej postawie, twarzy ściągłej, pomarszczonej, żółtej, nastroszonym groźnie siwym. miotlastym wąsom i ruchom znaczącym w każdem drgnieniu jakiś rytm żołnierski.

Świerzyński wyprowadził pana Tadeusza do ustronnego za domem ogródka. tam zatrzymał go, ustawił, wyprostował i jął opatrywać.

Dziwne to były oględziny. Sierżant zginał mu ręce i nogi, po kilkakroć zaglądał w oczy, mierzył długość kroku, badał zęby, przyglądał się delikatnym kościom. A przy tej ceremonji mruczał coś pod nosem, sapał i od czasu do czasu sięgał do tabakierki za pazuchę i trzaskając pociągał potężny niuch.

Te oględziny znudziły w końcu pana Tadeusza.

— Mości panie sierżancie... kaleką nie jestem! Świerzyński burknął i syknął przez zęby.

— Milczeć!

— Daruj waszmość...

— Mów mi sierżancie! Mościów w wojsku nie ma! Od porucznika dodawaj pan — niżej jest sierżant-major, kurjer, sierżant, kapral... a ty... jesteś „ty“...

— Ależ mości!...

— Milcz smyku!... Równaj się! Głowa do góry!.. Pierś naprzód!.. Bierz cię djabli, pięty do siebie!.. Patrz w oczy!.. smyku!..

Pan Tadeusz skonfudowany nauką, chciał prosić, by mu Świerzyński wyłożył wskazówki pierwsze, objaśnił nadewszystko to, co się zdało Zabielskiemu najpotrzebniejszem, lecz sierżant do słowa mu nie dał przyjść — a gdy młody ochotnik po raz trzeci ozwał się doń, rzucił się jak ryś, doskoczył doń i huknął zajadle.

— Smyku, bierz cię djabli... milczeć! Łeb skręcę! Opłazuję! Wypatroszę! Naszpikuję!... Bierz cię djabli!... Smyku jeden...

Zabielski usta do krwi zagryzł, byle ogarniające go wzburzenie opanować. Sierżant wydał mu się gburem, nie mającym wyobrażenia o obchodzeniu się z ludźmi, gburem obozowym, prostakiem. Pan Tadeusz żałował prawie swego pośpiechu w wyborze pułku i siłą woli powstrzymywał się od wybuchu, aby, co za tem idzie, słabości swej przed generałową nie zdradzać, a z pułkownikiem Godebskim nie mieć zatargu, a bodaj przemówienia. Umacniał więc samego siebie i powtarzał, że przecież to się musi skończyć. Lecz nauka tymczasem z godziny na godzinę się przeciągała. Świerzyński chwili nie dał spocząć panu Tadeuszowi. Od postawy, przeszedł do wyciągniętego marszu, od marszu do zwrotów, od zwrotów do pierwszych ćwiczeń karabinem, do poruszeń na komendę.

Głos sierżanta syczał co chwila, a wzrok każde uchybienie w lot chwytał. Żelazna dłoń Świerzyńskiego, to Zabielskiego prostowała, to równała pierś, to do większego naprężenia muskułów zmuszała. Na dobitek, w miarę postępowania nauki — sierżant klął coraz zawzięciej, gromił coraz ostrzej. Sam każdy ruch, każde poruszenie pokazywał, czynione przez papa Tadeusza błędy przedrzeźniał, a z niczego nie był zadowolonym.

Dobrze już się ściemiać zaczęło, gdy nareszcie Świerzyński ustał, otarł potem zroszone czoło, splunął pogardliwie i zaopiniował krótko:

— Bierz cię djabli, smyku... niedołęgo i koniec!

— Widzę to sierżancie, że co do waszej komendy się nie zdałem! — mruknął opryskliwie Zabielski.

Świerzyński brwi ściągnął.

— Milczeć! Subordynacja!.. Smyk!... Rekrut. Bierz cię djabli... ale nie głupiś — będzie z ciebie żołnierz?... Zobaczysz!... Dosyć tego!... Marsz za mną — teraz regulamin!

Z ogródka sierżant zaprowadził pana Tadeusza do izdebki swojej — tam usadowił go na kufrze, zapalił fajkę i jął wykładać mu zasady służby wojskowej, przechodząc kolejno wszystko od oddawania honorów, do obowiązków szyldwacha, od hasła i odzewu do starszeństwa wojskowego, nie opuszczając ani różnicy zachodzącej między kompanją wyborczą a grenadjerską, ordynansem i kurjerem, grangardą i pikietą, rekonensansem pułkowym a rekonensansem wielkiej armji i streszczając istotę obowiązków żołnierza. Świerzyński miał przytem swój sposób przedstawiania rzeczy, czasem tak osobliwy, że Zabielskiego i mimo niechęci, jaką budził w nim ten stary posiwiały ryś pułkowy coś czasem za gardło chwytało i aż mu oddech zapierało. Zwłaszcza kiedy Świerzyński kreślił mu obraz żołnierza w szeregu na polu bitwy.

— Smyku, bierz cię djabli! Pułk wyprowadzili, czworobokiem zwarli, broń do nogi i baczność... niedołęgo! Stoisz! Na prawem skrzydle dobosze huczą, trąbki zawodzą! Serce ci dygocze a ty nic, bierz cię djabli stoisz a dychasz. Z pod lasu, hen idzie kolumna nieprzyjacielska, ustawiła baterję, plunęła raz i drugi i czai się a linją ciągnie jak okiem sięgniesz!.. Plunęli bliżej, Świsnęła ci jedna nad uchem. Ten twój najbliższy z plutonu zachwiał się, musnął cię ręką po ramieniu!... Szlusuj! — woła pułkownik. — Szlusuj! — wtórują majorowie!... Posuwasz się od prawej ku lewej i nic, stoisz — bierz cię bjabli! Baterja znów żygnęła! Szelmy wypatrzyli! Kaszkiety się posypały!.. Ścisnąłeś karabin, mać starucha spojrzała na cię, pozdrowili cię ojce, kolnęło cię — spojrzałeś po sobie i nic, stoisz — bierz cię djabli!... W dali tymczasem tuman się poderwał, zaczerwienił się chorągiewkami, błysnął stalą — nasi szarżują — ziemia jęczy. Baterja ryczy. Kule gwiżdżą a po uszach cię głaszczą!... Ty nic! Jak ci gwiźnie to nie twoja!... Ta co tobie sądzona warknąć nie raczy!... W kompanji twojej ubytek!... Najbliższy kapral sierżantuje, najbliższy kapralowi kapraluje!.. Co raz... sprzątają ci towarzysza! Jeszcze odrobina a nie będzie ani z kim do kotła zasiąść, ani o swoich zagadać, ani się ucieszyć! Ściskasz lufę, ładownicę pieścisz i nic, stoisz— bierz cię djabli!...

Pod lasem baterje umilkły — łomot jeno idzie, a trzask! Ułani gryźć się nie mogą!... w tem od sztabu pędzi adjutant. Na siodle się pochylił, akselbanty srebrzą mu się w słońcu, czapę wiatr zerwał, zawisła na sznurach i łopoce, a kitą trzęsie. Dopadł adjutant pułkownika, salutował, rozkaz generała przywiózł. Bębny ozwały się, trąbki zagrały pobudkę. Komenda — podwójny krok i marsz! Idziesz! Kaszkiet na uchu, lederwerki bieluteńkie na białych rabatach, amarant na amarancie, blacha pozłocista a biała. Idziesz! Baterja waruje — lonty już się tlą, powitanie gotują. Czworobok sunie, zbliża się... strzelili... Zakotłowało się w szeregu! Naprzód dzieci — za mną! — huknął głos pułkownika. Ciebie aż poderwało, zachwiałeś się, zatoczyłeś z całym czworobokiem, a potem pochyliłeś karabin i pędzisz—bierz cię djabli!...

Oka mgnienie, a przed tobą mur ludzi, mur żelaza... Za mną dzieci!... Skupiłeś się w sobie, wpakowałeś ładunek najbliższemu, bagnet do dołu i po żebrach... Przed tobą kapitan! Pałaszem podbija wymierzone ciosy i prze! Dwakroć z pod ręki burczymucha kapitan, ale to swojak... Trzeci raz go opadli, nie zdążyłeś, zachwiał się, krwią broczy i jęczy „naprzód... dzieci“!

— Ciebie, gdyby żelazem rozpalonym.

Nie starczy ci bagnetu, za lufę chwytasz i następujesz, a pierzesz! Bierz cię djabli! Pierzesz za kapitana, za sierżanta, za kaprala, za mundur, który ci bagnetem rozdarto, za kaszkiet strzaskany kulą, za mać staruchę, co we łzach powrotu twego wygląda, za ojce, co takoż na polu legli, za blaszkę pozłocistą, co ci ją zrysowali, za ziemię, za generała, za cesarza!... Pierzesz... A ziemia dookoła ciebie polana... ty, bierz cię djabli, następujesz, a co rusz, ubroczysz... Aż nie stało przed tobą wroga!... Trąbki grają — ledwie nogami wleczesz ze znużenia, a czegoś ci lekko na sercu, czegoś w duszy gra, coś cię w sercu grzeje!... Nadjechał pułkownik, spojrzał na cię i powiedział do cię „zuchu“. — Idziesz, patrzysz, porucznik twój zmaga się, powstać nie może. Ty do niego, w ramiona go bierzesz i niesiesz, on do ciebie „bracie“... Bierz cię djabli, niesiesz!...

Pułk się zbiera, sztandar furkocze strzępami — trzy bataljony się składają i ledwie z nich cztery kampanje... Wódz nadjeżdża... salutuje, przemówił, aż ci pierś dygocze, łzy się cisną, beczałbyś.. bierz cie djabli!... Pułkownik na ciebie wskazał... Bębny zagrzmiały! Wódz do ciebie! A pod tobą nogi drżą, chwiejesz się, trzęsiesz... kapitan ci salutuje!.. Jezu! W oczach ci pociemniało, Bledniesz jak chusta... Bębny grzmią! Na piersiach twych krzyż... Rozumiesz smyku, rekrucie!... Bierz cię djabli wtedy!.. Wracasz do domu... krzyż ucałowałeś, z żalem na złachmaniony mundur poglądasz... Patrzysz, na ramieniu sznurek krwi wije się, ślizga, czerwienią znaczy swą drogę! Myślisz, boli? Tfy!... Bierz cię djabli! Śmiejesz się do niej, przyglądasz się i cieszysz i mówisz... płyń, ciecz psiawiaro zatracona, bierz cię djabli... za kapitana, za sierżanta, za kaprala, za mundur, za kaszkiet strzaskany, za mać staruchę, za ojce co polegli, za blachę pozłocistą, za ziemię rodzoną, za generała, za cesarza!... I... i wtedy rekrucie smyku... niedołęgo... żołnierzem jesteś!...

Świerzyńskiemu głos uwiązł w gardle, głowę zwiesił i zadumał się. Pan Tadeusz porwany urokiem, który nań rzuciły proste słowa sierżanta, zadumał się. Jakże małym samemu sobie się wydał, jakże mizernym... Ten sierżant zdawał mu się olbrzymem. Wyrazy jego miały coś z gromu i coś z burzy, coś z szalonego junactwa i coś z rozpaczy. Świerzyński dawno był umilkł, a Zabielskiemu jeszcze w uszach dzwoniły słowa... „i wtedy rekrucie, smyku, niedołęgo... żołnierzem... jesteś!“...

Zabielski otrząsnął się z wrażenia i jakby chcąc wrócić urok, który go przejął — szepnął machinalnie:

— Mówcie... mówcie jeszcze sierżancie!...

Świerzyński spojrzał na pana Tadeusza, parsknął raz i drugi, uścisnął go za głowę i rzekł cicho:

— Nie smyku... rekrucie... ty... bierz cię... djabli... będziesz żołnierzem!...

Od tej chwili dziwna harmonja zapanowała między instruktorem a rekrutem. Pierwszy klął może zapalczywiej, gorręcej, lecz spoglądał czasem tak dziwnie, że panu Tadeuszowi śmiałości nie stawało, żeby się oburknąć lub niehumor objawić. Aż sam tego pojąć nie mógł. Sierżant nie żałował siebie ani strofowań, ani dosadnych napomnień, ani opryskliwych szarpnięć nierówno lub niewłaściwie wyprostowaną czy zgiętą ręką Zabielskiego a jednak w surowej twarzy Świerzyńskiego, w głosie chropowatym, w każdym odezwaniu się było coś, co pana Tadeusza obezwładniało, czyniło powolnym, uległym, bacznym, coś, co pętało mu serce, co synowski budziło szacunek.

Nauka postępowała szybko. Jeszcze tego samego dnia Zabielski mógł sobie oddać sprawiedliwość, że nabrał ogólnego wyobrażenia o służbie frontowej. Dzień następny był mozolniejszym o wiele, sierżant bowiem wyprosił sobie z drugiego pułku dobosza, lecz zato zakończyło naukę znaczące mruknięcie—„bierz cię djabli... smyku... rekrucie... idźże!...“

Definicja ta niezmierną uciechę sprawiła panu Tadeuszowi.

Mustry takie trwały cztery dni z rzędu, przerywane czasem niezbędnym wypoczynkiem, ladajakim posiłkiem lub odwiedzinami imć pana Melchiora, mistrza krawieckiego, który z rozkazu pani Dąbrowskiej gotował umundurowanie Zabielskiemu.

Biedny pan Melchior nielada miał utrapienie z tym mundurem, jak sam mówił, wolałby czterem adjutantom całą wyprawę szyć, niż ten żołnierski uniform gotować. Przyczyną tych wyrzekań był Świerzyński, który z całym skupieniem asystował przy miarze, każdą marszczkę upolował, po dwakroć kazał białe rabaty zwężać, raz mu podszycie było zbyt lichem, to znów stan nie dosyć wcięty, kołnierz odstającym a potem rękawy za szerokie, guzy za słabo przyszyte, numer pułku na szlifach niezgrabnie wycięty.

Pan Tadeusz znudzony tymi sporami, jakie sierżant wiódł nieustannie z krawcem a daleki od lubowania się w strojeniu, już za trzecią miarą oświadczył się za mistrzem i zaopinjował, że mundur jest bez zarzutu.

Sierżant aż zębami zgrzytnął na taką herezję.

Milcześ, rekrucie, smyku! To jest mundur? Worek! Bierz cię djabli! Nie pozwolę! Fałda pod pachą!

— Sierżancie, obciągnie się się pasem i uleży się! — sumitował się imć pan Melchior. — Dalipan uleży się!

— Na nic. powiedziałem! Bierz cię djabli! Wam szyć mundury! Pudermantle, gałgany, wiechcie!...

— No, no! Daj Boże tyle szczęścia, ilu oficerów odziałem.

— Kto? Kogo?! Milczeć! Precz z tym! Nie pozwolę!... Nie ma mistrzów, nie ma krawców!.. Był jeden w pierwszej legji, Duszyński! Jak skroił — et... Takiego nie będzie! Bierz cię djabli! Tu podciąć, a tu przeszyć — zobaczymy!... A smyk, rekrut, baczność, ani pary z ust! Nie wiesz co mundur, co rabat, co guz a co szlufa... więc milcz i słuchaj!

Nareszcie pan Melchior zdołał jako tako zadowolnić sierżanta i złożyć uniform do skrzyni, w której już leżały nadesłane przez panią generałową rzemienie i potrzeby żołnierskie.

D. c. n.

Pogadanki Naukowe

II.

SŁOWIANIE.
Uroczystości i obrzędy.

Święto Kupały.

(Według Starej Baśni Kraszewskiego).

Święto Kupały, jedno z najuroczystszych świąt, obchodzili starzy Słowianie w dzień przesilenia dnia z nocą, na cześć boga dnia i światłości. Kupało znaczyło toż samo, co kąpiel przez ogień czyli oczyszczenie przez ogień. W dniu tym uroczystym w każdym zakątku ziemi słowiańskiej, nad Elbą i Wisłą, nad Dniestrem i Rodanem, nad morzem Baltyckim i Adryjatyckim — rozpalano ogniska. Z różnych stron: ze wschodu i zachodu, z pół nocy i z południa schodzili się Słowianie na oną uroczystość.

Zaledwie świt zarumienił niebo, zrywali się chłopcy, z pościeli, biegli do lasu po drzewo i wśród miejsc pustych ustawiali stosy wysokie, szerokie u dołu, w górze śpiczaste. Od rana wśród lasu rozlegał się łoskot siekiery, krzyk spłoszonego ptactwa i śmiechy młodzieży. Drzewo, z którego stosy robili, musiało być świeże, bo koło niego żywi, młodzi i zdrowi zabawiać się mieli; suchego drzewa Słowianie tylko dla umarłych używali, ponieważ w ich przekonaniu w suchym śmierć gościła. W chatach niewiasty zajęte były tymczasem pieczeniem kołaczy i przygotowaniem mięsiwa.

Już stosy gotowe, jadło i napitek również, gromady strojne ukazują się z różnych stron lasu, wśród nich idą starzy gęślarze, lecą od pól dźwięki gęśli, pieśń dziewcząt im towarzyszy, — lecą od pól słowa pieśni:

»Słoneczko dnia jasnego, świeć nam a grzej,
»Strumienie światła na ziemię lej,
»Kupało! Kupało!
»Niech czarne smoki nie śmieją zakryć twarzy
[słońca —
»Tyś życiem, tyś szczęściem, nadzieją, tyś Bóg
[nasz,
»Kupało! Kupało!
»Króluj dniom naszym, panuj nam bez chmury.
[do życia obudzaj,
»Siej, żyw, budź!
»Kupało! Kupało!«

I śpieszy gromada, bo dziewczętom pilno do tańca, a chłopcom do skoków, przytem święto Kupały tak pełne czarownych zjawisk; wszakże gdy noc ziemię osłoni, to po rzekach blask srebrzysty będzie się ścigać, a drzewa przechodzić będą z miejsca na miejsce i gadać o bohaterach przeszłości; a kto w oną noc znajdzie kwiat paproci, ten zrozumie ich mowę, ten zobaczy, jak słońce wyjeżdża ze swego pałacu na trzech koniach — srebrnym, złotym i brylantowym, jak w podróży rozsypuje po niebie iskry płomieniste...

Młodzi wierzą, iż zobaczą naprawdę te cuda, więc śpieszą do lasu, więc z utęsknieniem nocy wyglądają i nową pieśń nucą, a gęślarze im wtorują.

»Pieśni ty moja, pieśni, ptaszyno moja złota! — brzmij po siołach. — Tyś jak woda żywota, wskrzeszasz ze śmierci: lecz kto się w nurt twój miota, ten prędko życie prześni«.

»Dwojaka twoja cnota: żywot i śmierć jest w pieśni; pieśń zmarłych z grobu wskrzesza, pieśń żywych na śmierć miota«.

Już las chwyta słowa pieśni, już drzewa ją powtarzają; wesoła drużyna dotarła do celu, dziewczęta i chłopcy, skacząc, klaszcząc w dłonie, wbiegają do lasu »Kupało, Kupało!« brzmi zewsząd.

Słońce rzuca już ostatnie blaski ziemi na pożegnanie, lecz jeszcze złoci szczyty sosen, więc ognisk rozpalić jeszcze nie można, trzeba czekać, aż zniknie zupełnie. Starcy i niewiasty rozsiedli się pod drzewami, między nimi gęślarze, opodal postawiono niecki z mięsiwem i cebry z miodem, oraz kołacze; młodzież zabawia się tymczasem gonitwami — chłopcy ścigają dziewczęta, one z krzykiem uciekają, odpędzają ich chustami.

Wreszcie słońce znikło, ciemność las zaległa — młodzież skoczyła do przygotowanych stosów i ogień rozniecać poczęła; trą gałęzie, krzeszą iskry, wreszcie błysnęła jedna, druga, trzecia, płomień się ukazał, zasyczał — czerwone języki pną się ku górze, czepiają liści, chwytają je; dziewczęta ujęły się za ręce, wiankiem żywym okrążają stosy, brzmi nowa pieśń w lesie:

»Słońce w morzu się kąpało, bo na wesele iść miało. Wiodą pannę młodą, w złote szaty przyodzianą. Księżyc jedzie z gwiazd drużyną. Witaj, słonko kochane — ty mi będziesz królowało. Kupało! Kupało!«

Chłopcy skaczą przez ogień, borykają się, padają na ziemię, tarzają w piasku i do nowych skoków się zrywają; niewiasty i starcy, powstawszy z ziemi, przypatrują się ochocie młodzieży, a z twarzy ich czytać można, że dawne lata wspominają — oczy i usta się im śmieją, klaszczą w dłonie, drepcą nogami, jakoby ochota ich brała pójść za młodymi, a młodzi tańczą coraz ochoczej. Wieńce z głowy pospadały dziewczętom, warkocze im się rozplotły — one tego nie widzą. Pełno krzyku i wesela w lesie,—zbudzone ptactwo z wrzaskiem podniosło się ze swych gniazd, lecz krzyki jego głuszą krzyki ludzkie.

Tak noc zbiegła na zabawie. Gdy świt zarumienił niebo, wówczas puściły się dziewczęta, tańce ustały, ucichły pieśni, niewiasty wróciły do opuszczonych miejsc i jadłem częstować poczęły. Ogniska powoli dogasały; skaczą jeszcze przez nie chłopcy, lecz w coraz mniejszej liczbie, znużenie czuć się daje każdemu; coraz ciszej coraz spokojniej wśród drzew, słychać tylko radośny świegot ptactwa, które słońce wschodzące wita.

Wreszcie wszyscy otoczyli niecki i cebry, uczta się rozpoczęła. Starzy opowiadają dziwy o dawnych bohaterach, o czarownych zjawiskach, jakie w noc Kupały widzieć można; młodzież slucha ciekawie i żałuje, że nikt kwiatu paproci nie znalazł, nikt przeto słońca wyjeżdżającego naprzeciw księżyca widzieć nie mógł, ani drzew gadających nie słyszał.

Dopiero koło południa gromady opuściły las, kierując się ku domowi, a przez pola i błonia leciały znowu słowa pieśni, dźwięk gęśli i radosne okrzyki »Kupało! Kupało!« z którymi chłopcy, mając zapalone żagwie w dłoni, niwy obiegali, pilnie bacząc, by ogień nie zgasł, — bo kto do chaty zapaloną żagiew przyniesie, ten szczęście do domu sprowadzi— tak mówili starzy Słowianie.

Święto Kupały obchodzone było przez wszystkie plemiona słowiańskie, lecz nie wszędzie jednakowo. U plemion ruskich młode dziewczęta i chłopcy, wykąpawszy się, zbierali się na pagórku nad rzeką i tam ustawiali dwie postaci, wyobrażające mężczyznę i kobietę; pierwsza zwała się Kupało (bóg słońca), druga Marzanna (zima). Następnie rozkładali ogień, brali się za ręce parami, chłopcy z dziewczętami i tańczyli wokół; a gdy się zmęczyli, wówczas rzucali się na owe postaci z okrzykami »Kupało! Kupało!« i rzucali je do rzeki. W dzień ten zwykli byli Słowianie odprawiać związki małżeńskie.

Do dziś dnia w wielu miejscowościach odprawiają 23 czerwca, kiedy dzień najdłuższy, uroczystość zwaną Sobótka, która przypomina owo święto Kupały; w dniu tym młodzież wiejska również rozpala wśród lasu ogniska, tańczy wokoło nich, śpiewa lub skacze przez nie, — nazwa zaś tej uroczystości nie pochodzi od wyrazu sobota, jak to wielu mniema, lecz od wyrazu Sabotias, który oznaczał bóstwo słońca. Na Śląsku jest do dziś dnia góra, zwana Sobotką, na której w czasach pogańskich Ślązacy słońcu ofiary składali.

Inne uroczystości pogańskie zastąpiono chrześcijańskimi, pozwalając zachować niektóre z dawnych zwyczajów.

Pogańscy Słowianie uważali jajko jako symbol obfitości i słońca wiosennego, poświęcali je słońcu, — wieprzowinę zaś i ciasto matce słońca, babą zwanej, — stąd zapewne ciasta wielkanocne zowią babami.

Zwyczaj dzielenia się jajkiem obchodzono również na cześć boga Słońca, który był także bogiem zgody i pokoju. Dożynki nasze, tak wesoło obchodzone przez lud wiejski, znane były starym Słowianom: na wyspie Rugji po skończonych żniwach lud zbierał się przed świątynią Arkony, naprzód składał Swiatowidowi ofiarę z ziół lub zwierząt, którą kapłan palił na ołtarzu bóstwa, poczym słuchał wróżby co do przyszłorocznych urodzajów, nakoniec składał w darze kapłanowi ciasto okrągłe z miodu czyli piernik, takiej wielkości, że kapłan mógł się skryć za nim, — co uczyniwszy, pytał ludu, czy go widzi, a gdy odpowiedzieli, że widzą, życzył im, żeby go roku przyszłego nie widzieli, dając tą odpowiedzią do zrozumienia, że im życzy żniw szczęśliwych. Po skończonej ceremonji lud tańcom się oddawał i biesiadzie.

Wiele innych dziś święconych zwyczajów pochodzi również z czasów pogańskich; szanować je winniśmy jako pamiątki, przypominające nam ojców naszych.

D. c. n.

Rozmaitości.

KTO WYNALAZŁ PAPIER I DRUK?

Chińczycy wyprzedzili Europejczyków, jako wynalazcy papieru i druku. Ogłasza to światu Anglik A. Parker w uczonej rozprawie. Chińczycy początkowo pisali pewnego rodzaju lakierem na liściach bambusowych, albo na drewnianych tabliczkach, a później atramentem. Ale już na dwa wieki przed erą chrześcijańską używali pendzelka napuszczonego farbą, a zamiast liści materji jedwabnej lichego gatunku, tkanej z samych odpadków. W r. 105 Tsei Lum wpadł na pomysł wyrabiania papieru z włókien konopnych sieci, gałganów i t. p. i odtąd ukazywały się coraz to nowe papiery wszelkiego rodzaju. W III wieku wyrabiano już doskonały atrament, do którego nie wchodziły już ani soda ani węgiel.

Co się tyczy druku, to ten jest o wiele dawniejszy, niż przypuszczają ogólnie. W zamierzchłej przeszłości odciskano już w Chinach napisy, wyryte w kamieniu na papier. Napis był wklęsły, więc posmarowawszy kamień czarną farbą, otrzymywano na papierze napis biały. Z biegiem czasu ciosano kamienie tak że napis był wypukły i wychodził czarno na białym papierze. W r. 593 z rozkazu cesarza wyrzeźbiono na drewnianych stołach wizerunek (prawdopodobnie Buddy) i napisy [niewiadomo czy chińskie, czy sanskryckie] w celu przeniesienia ich na papier. A z wszelką pewnością twiedzić można, że pomiędzy r. 618 a 906 rozmaite książki już były drukowane na papierze za pomocą tabliczek drewnianych tabliczek i sprzedawane po księgarniach.

Wobec tego nie należy uważać Gutenberga za pierwszego i jedynego wynalazcę druku.

DACH OGNIOTRWAŁY SŁOMIANY.

Wygląda to na bajkę, a jednak pisma fachowe piszą o dachu ogniotrwałym ze słomy z całą powagą.

Oto centralna policja dla zabytków historycznych w Austrji, zwróciła uwagę ministerjum robót publicznych na wynaleziony w Niemczech północnych nowy sposób krycia dachów słomą, który jest nietylko ogniotrwały, ale nadto ma wygląd wcalę piękny i jest wogóle ze stanowiska gospodarstwa rolnego bardzo praktyczny. O dobroci tego dachu świadczy fakt, że niektóre kasy ogniowe i towarzystwa ubezpieczeniowe traktują ten dach na równi z innymi trwałymi nakryciami domów.

Nowy ten dach, zwany od swego wynalazcy dachem Gerejca, jest nakładany mieszaniną gliny, gipsu i wody; mieszanina ta da się nałożyć na każde wiązanie dachowe. Zamiast gipsu można nałożyć cementu.

Taki dach jest bardzo twardy, a przytym nadzwyczaj porowaty: ma on wszelkie zalety dachu słomianego, równocześnie jednak przedstawia zupełne bezpieczeństwo od ognia.

W Austrji wskutek okólnika ministerjum, zwrócono baczną uwagę na podjęcie prób z zastosowaniem tego krycia w praktyce.

NIEWIDOMY.

Pewnego dnia znikł świat z przed oczu pana Wincentego. Po długiej chorobie, po okropnych cierpieniach wyrywających jęki z piersi umęczonego człowieka, po wydaniu wszystkich zaoszczędzonych pieniędzy na leczenie, przyszła noc nieprzenikniona, nierozjaśniona najlżejszym błyskiem, noc bez końca.

Zgasło słońce, skrył się błękit nieba, zniknęły postacie ukochanych osób.

Pan Wincenty przez kilka pierwszych tygodni swego kalectwa czuł się jak pustelnik na bezludnej wyspie, zdala od ludzi i świata. Mówiono do niego, dotykano jego rąk, prowadzano z miejsca na miejsce, a jednak pan Wincenty miał wrażenie, że jest ciągle sam, odcięty od wszystkich.

Były chwile, w których takie życie wydawało mu się niemożliwe do zniesienia, w których oszalałe rozpaczą myśli snuły straszne plany, a znużone bezczynnością ręce szukały wokół noża lub sznura, by nimi skrócić puste istnienie.

Całe dnie spędzał pan Wincenty samotnie. Wszyscę najbliżsi, na których on dotychczas pracował, musieli wziąść się z kolei do zarobku. Żona i córka chodziły do magazynu, syn terminował w szewskim warsztacie znajomego majstra, skoro już ojcowskiego warsztatu nie stało.

O pewnej godzinie dnia wracała do domu żona, aby przygotować dla całej rodziny obiad, a w ślad za nią przybiegały dzieci, zjadały szybko strawę i wracały do zajęcia, a matka z nimi. Dopiero wieczorem w małym mieszkanku robiło się rojno, ale nie gwarno. Dzieci tak były pomęczone pracą, że się im nawet mówić nie chciało, pożywiały się byle czem i szły spać.

Lecz pewnego wieczora chłopak wyciągnął z kieszeni pomiętą gazetę i zapytał nieśmiało:

— Może tatko chce aby mu co przeczytać? Tatko tak teraz nic nie wie, co się na świecie dzieje.

Pan Wincenty przyjął propozycję skwapliwie i w ciszy izdebki brzmieć począł głos chłopięcy, odczytujący niewprawnie wieści z miasta, z kraju i z całego świata.

Panu Wincentemu stawały przed oczyma duszy miejsca, o których czytano, ludzie o których była mowa. I odeszła od niego nuda i poczucie osamotnienia. Głos chłopięcy ucichł, wszyscy pokładli się do snu, a pan Wincenty jeszcze w myśli przesuwał zasłyszane wieści.

Dawniej pan Wincenty gazet nie czytywał, miał swoją pracę, swoje interesa, swoje przyjemności, ale teraz, gdy wszystko odgradzała od niego noc, gazeta stała się dlań jedynym źródłem wiadomości o świecie, jedynym zajęciem i rozrywką. Co wieczór więc zapytywał syna:

— Czy poczytasz gazetę?

I czekał tej chwili z upragnieniem, jako jedynego błysku w otaczających go ciemnościach.

JULJUSZ SŁOWACKI.

JAN BIELECKI.

Powieść oparta na podaniu historycznym.

(ciąg dalszy).

Patrz! oto w czarnej zasłonie dziewica,
Z różanym wiankiem—a przy niej młodzie-
(niec
Oboje widać z wysokiego stanu;
Ona zbierała w Neapolu wieniec,
On się urodził w Rzymie Oceanu *).
A pieśni majtków i szum cichej fali
Ukołysały umysł jeszcze młody;
I rzucił ślubny pierścionek do wody,
Poślubił morze i jak Tass się żali.

*) Wenecja.

Lecz w jedną stronę zbiegł się tłum ba-
(lowy
Dziwna tam maska! Dziwne jej ubiory!
Kaszmirska szata w cudne szyta wzory;
Od szaty bije blask dyamentowy,
We włosach toną przepaski z korali——

— Wnet się rozbiega szmer wielki po sali:
Kto jest ta maska?—Sam król nasz Batory
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,
W skarbcu królewskim!—Kto jest ta dzie-
(wica?
Próżna ciekawość: pod maską jej lica;
Ani się słowem wydaje w rozmowie.

IV.

ZEMSTA.

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały kom-
(naty —
Głośna to radość, lecz radość nie szczera;
Śmiech słychać! — śmiech ten wymuszony
(świata
Na bladych licach nigdy nie umiera.
Śmiech ten jaśnieje jako kwiaty z płótna,
Którymi błyszczy biesiadnika głowa —
Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,
Wiecznie bez czucia, choć piękna, lecz smu-
(tna
Nigdy nie żyły i w nieba błękicie
Nie odetchnęły—i nigdy nie zwiędną.
Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie,
Nad jednę chwilkę rozkoszy—choć błędną?

Pan Brzeżan smutny, milczący, ponury,
Porzucił tłumu różnobarwne fale:
Szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury
I wodotryski wychładzały salę.
Okna posępne gotyckiej struktury;
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
Wokoło stoły z marmuru, bursztynu;
A z ram złoconych nie jedna twarz blada,
Której wiekami ściemniały kolory,
Twarz przodków patrzy: smutna, nieruchoma
Chodził Starosta, krok niepewny, skory —
Za nim się cienie kładły od księżyca;
A gdy na niebo podniósł blade lica,
Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słychać wrza-
[ski;
I zbiegł Starosta do sali biesiady,
Zawołał pazia, pomięszany, blady.
—„Paziu mój! paziu! co znaczą te maski?
Prawie połowę zajęli komnaty,
Czoło zakryte i tatarskie szaty—“
—„O panie! twojej bojaźni nie dzielę,
To jakaś szlachta zjechała kulikiem“.
—„Nie są to, paziu! nie są przyjaciele!
Szlachta by zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
Zaraz by pełne obległa szklanice,
A oni milczą, kryją tajemnice— —
Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
Niechaj odźwierny—Lecz cóż to? O Boże!—
Zwodowa wieża i zamek się pali!
O zdrada!—Bracia! kto mi dopomoże?
Miecz mój i zbroja! prędzej paziu młody!“

Już nie czas! — zewsząd tłumne pogan
wrogi]
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;
Trupami sali zawalili progi,
Ognie pożaru zażegli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jest-że ich wodzem? baszą? atamanem? —
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju,
Czoło złocistym przysłonił turbanem,
I wiarę złotym księżycem naznaczył.
Leci na czele i służbę pomija;
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach; on wzrokiem zabija.
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady,
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe.
Światła zadrżały, zgasły, tylko blady
Świecił się promień lamp, w alabastrowe
Ukrytych głazy— —Wpadł jak śmierci mara
I wejście mnogą wartą zabezpiecza—
Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatara.
Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;
Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!
Nad emalii zaćmionym lazurem,
Obraz Najświętszej Panny malowany,
I obraz krzyża—pod krzyżem, na dole,
Herb, jakby srebrne księżyca półkole
I gwiazda—nad nią hełm ze strusim piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone,
I padł starosta na twarde granity.
Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzony
Zabrzmiało echo.—Był to jęk kobiety.

Była to maska nieznana nikomu,
Którą brylantów moc wielka pokrywa.
Śmiech usłyszała i jakby od gromu,
Zadrżała, padła na głaz jak nieżywa—
A Tatar przybiegł i padł na kolana:
Cuci ją, węzły ścieśnione rozrywa— —
Twarz jego była straszna, obłąkana—
Chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki!
Ona jak martwa była w jego dłoni;
Z głowy różane pospadały wianki,
I głos się rozwiał, pełny słodkiej woni,
Rozwiany spływał aż do stóp Tatora,
A strasznie bladą była twarz dziewicy!

(Ciąg dalszy nastąpi).